


Tu cien
pada
inasej

Agnieszka Gadzińska

Tu cień
pada
inaczej



Wydawnictwo Skrzat
Kraków



Lipiec

Mam na imię Magda i mam wielkie szczęście. Kiedy byłam w zerówce, lekarze powiedzieli, że prawdopodobnie nie dożyję dojrzałości, a ja za miesiąc kończę już trzydzieści lat. Czyli jak na razie jestem szczęściarą i naprawdę to doceniam.

Rodzice bardzo o mnie dbają – kolejny powód do radości. Mama wozi mnie na angielski, pomaga w lekcjach, gra w różne gry, a kiedy byłam młodsza, dużo mi czytała. Teraz oczywiście już nie musi tego robić – sama zaopatruję się w książki przez internet albo w bibliotece. Pani Ewa, bibliotekarka, bardzo mnie lubi i specjalnie dla mnie zamawia niektóre tytuły.

Tata pracuje w korporacji przez duże K, w której jest informatykiem, i ciągle nie ma go w domu. Rozumiem to – rehabilitacja mojego niemiłosiernie pokręconego kręgosłupa jest, uwierzcie mi, naprawdę kosztowną inwestycją. Nie zmienia to faktu, że wołałabym, aby bywał w domu

częściej. On mnie słucha. Kiedy mówię, skupia na mnie całą swoją uwagę – i to jest naprawdę fajne. Czuję się wtedy mądra i... nie wiem... bardziej wartościowa? Hmmm.

Nienawidzę ćwiczeń i masażu. Boli mnie łopatka i napięta na niej skóra. Jednak nie ma rady. Kilka razy zrobiłam mamie awanturę, że już więcej nie poddam się tym torturom, ale ona jest nieugięta i twarda jak granit! Kiedy się uprze – nie ma zmiłuj... Jedyne, do czego mnie nie zmusiła, to pływanie. Nie uwierzylibyście, czego ta kobieta nie zrobiła, by mnie zachęcić! Przekupstwa, obietnice, kłamstwa – cały repertuar! Ale ja się boję wody i już! Nie jestem w stanie tego pokonać. Czterdzieści procent wydolności oddechowej, jaką dysponuję, kategorycznie sprzeciwia się wszelkim wodnym eksperymentom, a ja nie zamierzam się jej przeciwstawiać. Brodzenie do kolan – proszę bardzo! – ale nic więcej. Poza tym, czy ktoś pomyślał, jak fatalnie czuję się w kostiumie kąpielowym? Wszyscy się na mnie gapią albo odwracają głowę (w zasadzie nie wiem, co jest gorsze) i nikt już nie myśli o tym, że mam miłą twarz, długie blond loki i opalone nogi – liczy się tylko bardzo silnie wystająca łopatka.

Rok temu moja mama poszła do pracy – jestem już duża i świetnie daję sobie radę sama.

Moje życie do początku lipca tego roku można określić jednym słowem: nuuuda. Jedna wielka, szara i rozciągliwa

do niemożliwości, porażająca nuda. Kiedy trwa rok szkolny, to pół biedy – zawsze jest coś do zrobienia. W klasie jest Nina, która chyba mnie lubi, i czasami się razem uczymy albo gadamy o chłopakach, to znaczy ona gada, a ja słucham. Potem, kiedy przychodzi lato i wakacje, zaczyna się gorszy okres mojego życia – Nina nie ma po co do mnie przyjeżdżać, bo nie ma już nauki, a jej nie chce się wlec z drugiego końca miasta. Upał powoduje, że nie mogę swobodnie oddychać, strasznie szybko się męczę i co tu kryć, dla zagorzałych rowerzystów, rolkarzy i pływaków (a Nina należy do wszystkich trzech kategorii) nie stanowi atrakcyjnego towarzystwa. Większość mojej klasy nie znosi czytania, jestem więc po prostu klasową dziwaczką, a jeśli chodzi o muzykę, nie sięgają dalej niż Justin Bieber. Nie bardzo mam o czym z nimi gadać. Nie myślcie sobie, że uważam się za lepszą. Nie! Po prostu nadajemy na zupełnie innych falach. I muszę z tym żyć.

Jak już wspomniałam, wszystko zmieniło się w lipcu, a właściwie na początku wyjątkowo ohydneho i deszczowego lipca, jeśli mam być szczerą. Nie miałam nic do roboty – jak zwykle zresztą. Przy deszczowej pogodzie oddycha mi się nieco łatwiej, za to czuję dokuczliwe ukłucia w łopatce – nic za darmo. Żeby znaleźć sobie zajęcie (bo ileż można czytać, a wyjazdy na rehabilitację nie są zbyt pasjonujące), kupiłam w sklepie ogrodniczym kilka

sadzonek pomidorków koktajlowych i obserwowałam ich wzrost. A muszę wam powiedzieć, że rosły jak szalone! Już po kilku dniach pojawiło się na nich mnóstwo zielonych kuleczek, które niemal w oczach zaczęły czerwienieć.

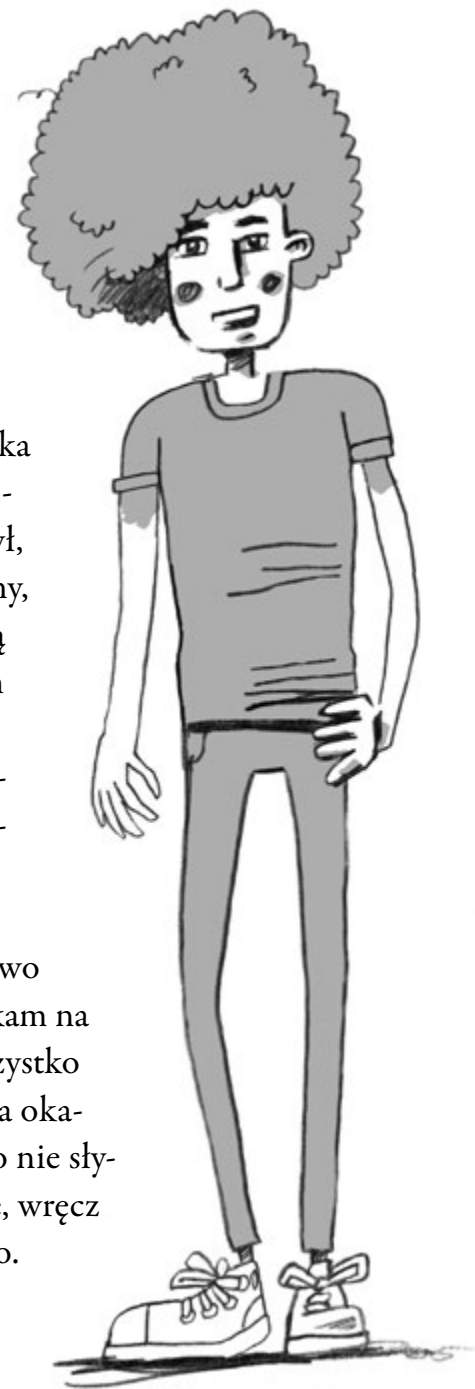


Stałam właśnie przy oknie, wgapiając się w strużki wody spływające po szybach, i podlewałam swoją miniplantację, kiedy przed naszą kamienicą zaparkował granatowy nissan. Było to niezwykle z dwóch powodów. Po pierwsze – dom, w którym mieszkam, stoi niemal przy Starym Rynku, gdzie nie ma wjazdu dla aut, kierowca w bezczelny sposób naruszył więc przepisy drogowe. A po drugie – kiedy otworzyły się drzwi samochodu, okazało się, że owym kierowcą jest policjant.

„No pięknie! – pomyślałam. – Stróż prawa łamiący prawo!”

Stałam przy oknie bokiem, tak aby było mnie jak najmniej widać. Mężczyzna, sapiąc z wysiłku, wyciągnął z bagażnika wielką walizkę na kółkach, po czym pochylił się jeszcze raz, wywlekając kilka kartonów. Postawił je na progu, by deszcz ich nie zmoczył, a potem, wyraźnie zirytowany, uderzył kilkakrotnie otwartą dłoń w szybę, coś przy tym wykrzykując.

Od strony pasażera wyłoniła się kolejna postać. Chłopak. Ubrany całkowicie na czarno, ze strzechą czarnych kręconych włosów i wyjątkowo długimi kończynami. Mieszkam na parterze, więc widziałam wszystko dokładnie, jednak moje okna okazały się wybitnie szczelne, bo nie słyszałam ani słowa. Delikatnie, wręcz bezszelestnie uchylłam okno.



Niestety chłopak miał słuch jak nietoperz i natychmiast spojrział w moim kierunku. Zamarłam na widok jego ciemnej skóry i czekoladowych oczu, najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam! Co za wstyd, to żałosne! Z upokorzenia zamknęłam oczy i zastygłam z ręką na okiennej klamce. Pewnie pomyślał, że jestem kompletną idiotką.

Nie mogłam tak stać wiecznie, więc po dramatycznie długich sekundach otworzyłam oczy i zobaczyłam, że chłopak wyciąga z auta plecak i pokrowiec z gitarą – oczywiście czarny.

– Pospiesz się, Michał, bo za chwilę nie wytrzymam! – rzucił gniewnie mężczyzna w jego stronę. – Muszę wracać do pracy, a ty grzebiesz się jak mucha w smole!

Michał, czyli czekoladowe zjawisko, uśmiechnął się półgębkiem i ruszył za policjantem, który przetrząsał rozpaczliwie kieszenie.

– Niech to szlag! – zirytował się po raz kolejny. – Nie mam klucza!

– Może nam otworzysz drzwi do klatki? – zawołał chłopak, a ja dopiero po chwili zorientowałam się, że to do mnie.

– Ja? – spytałam niezbyt inteligentnie, otwierając szeroko okno. – Przecież was nie znam.

Mężczyzna popatrzył na mnie jak na muchę plujkę.

– To już nas poznasz. Może nie zauważyłaś, ale jestem policjantem, a to mój syn, i od dziś będziemy tutaj mieszkać. Dokładnie naprzeciwko – drzwi w drzwi, wycieraczka w wycieraczkę. A teraz rusz się i z łaski swojej wpuść nas do środka, zanim cały nasz dobytek odpłynie do rynsztoka!

Co za antypatyczny typ! Wahałam się jeszcze chwilę, ale zakłopotana i nieszczęśliwa mina chłopaka wzbudziła moją litość. Zresztą... złodzieje raczej wnoszą, a nie wnoszą rzeczy, więc stwierdziłam, że zaryzykuję.

Mieszkanie naprzeciwko naszego stało puste już od kilku miesięcy. Wcześniej mieszkała tam pani Jakimczykowa – siostra ekscentrycznego malarza, pana Szemanki z ostatniego piętra – miła staruszka, która zawsze nosiła niesamowitą, artystyczną biżuterię. Właścicielka kamienicy, mieszkająca zresztą piętro wyżej, dała ogłoszenie o wynajmie, ale kiedy potencjalni najemcy dowiadawali się, że poprzednia lokatorka zmarła w swoim ulubionym fotelu i została znaleziona dopiero następnego dnia – przez moją mamę, nawiasem mówiąc – rezygnowali. Po staruszce została spasiona kotka Lolita, którą przygarnęliśmy, bo nikt inny nie chciał tego zrobić. Nic dziwnego, Lolita miała nie tylko sporą nadwagę, ale i ciężki charakter – mnie nie tolerowała wcale, no chyba że w przypływie natchnienia kupowałam jej koci smakołyk.

Chłopak pomógł ojcu wnieść kartony, stękając przy tym niemiłosiernie. Pomyślałam wtedy, że w większości z nich muszą być książki. Ucieszyłam się – jeszcze jeden dziwak, zupełnie jak ja.

Obserwowałam ich przez chwilę oparta o futrynę, ale ponieważ ważny pan policjant nie zaszczycił mnie już ani jednym spojrzeniem, zamknęłam w końcu drzwi. Kontynuowałam obserwację przez wizjer, czując lekkie wyrzuty sumienia. Nowi lokatorzy pownosili wszystkie bagaże, po czym jeszcze raz wsiedli do auta, pojechali po kolejne rzeczy i cała procedura rozpoczęła się od początku. Tym razem mieli ze sobą klucze i nie byłam im już potrzebna.

Przez kolejne dwa dni widziałam Michała raz, a jego ojca wcale. Zza drzwi ich mieszkania dochodziły odgłosy sprzątanania i pojedyncze stukanie. Lokal został całkiem niedawno gruntownie odnowiony, więc pracy w nim nie było za wiele. Pan Szemanko po śmierci siostry zatrudnił robotników, którzy pomalowali ściany i wymienili instalacje w łazience, a potem zastąpiono stare meble nowoczesnymi i funkcjonalnymi – wszystko oczywiście widziałam ze swojego okna.

Trochę podziwiałam nowych mieszkańców spod dwójki. Ja za nic na świecie nie chciałabym spać w pokoju, w którym ktoś zmarł – choćby nawet to była przemiła i niegroźna pani Jakimczykowa. Tato mówi, że w tak starym domu

jak nasz prawie każde mieszkanie ma swoją historię z trupem w szafie. Ja jednak wolę o tym nie myśleć.

W tym czasie pogoda znacznie się poprawiła, mogłam wychodzić na spacer i życie zrobiło się odrobinę bardziej znośne. Michał wprowadził do mieszkania rower – piękny i lśniący model do jazdy po mieście, i zniknął z nim na całe dni, podczas gdy jego tata, zabierając mundur, teczkę i swoje dwadzieścia kilo nadwagi, spiesznym krokiem udawał się do komendy na ulicę Jana Pawła II.

Właśnie miałam zamiar wybrać się do biblioteki, gdzie czekały na mnie apetycznie grube tomy zamówionych przed tygodniem książek, kiedy niespodziewanie wrócił mój tata. O tej porze powinien siedzieć przy biurku w open space poznańskiego kolosa, więc jego widok ogromnie mnie zaskoczył. Wszedł do kuchni, usiadł przy stole i rozluźnił krawat. Milcząc, wpatrywał się w ułożone płasko na stole ręce. Coś było nie tak, i to bardzo!

– Co się stało? – spytałam z duszą na ramieniu.

Ojciec nadal milczał, tępo gapiąc się na swoje równo przycięte paznokcie.

– Wylali mnie – rzekł w końcu, po czym wstał i jak lunatyk poszedł do sypialni, gdzie zaległ na łóżku, patrząc niewidzącym wzrokiem w sufit.

Świetnie. Tego tylko brakowało. Do wieczora, czyli do powrotu mamy, tata nie odezwał się ani słowem

i dopiero tuż przed pójściem spać usłyszałam ich rozmowę.

– Jak to: zredukowali twoje stanowisko?! – spytała mama głosem pełnym niedowierzania.

– Po prostu – odparł głucho ojciec. – Moje obowiązki przejmuje Marek. Podobno ma lepsze wyniki i jest w stanie opanować obydwu. Oszczędności.

– Damy radę – powiedziała mama. – Masz sporo zleceń, a potem coś znajdziesz. Dla dobrego informatyka zawsze jest praca.

– Zredukowali mnie, tak po prostu zredukowali... – dobiegł mnie jeszcze głos taty, a potem nastąpiła cisza.



Kamienica

Mieszkańcy naszej kamienicy przy ulicy Kaszarskiej to zbieranina różnych dziwnych osób, charakterów i osobowości.

Nad nami mieszka Klaudia – czasami do mnie przychodzi, najczęściej, kiedy ma z czegoś sprawdzian i potrzebuje pomocy w nauce. Jest bardzo mała i chuda, wygląda na nie więcej niż siedem lat, chociaż w rzeczywistości ma dziewięć. Jej rodzice często się awanturują. Moja mama mówi, że zawsze wie, kiedy dostają zasiłek, bo wtedy na całej klatce słychać brzęk butelek – znak, że zrobili zakupy i wieczorem będzie u nich głośno. Klaudia słabo się uczy i często



Klaudia

przesiaduje wieczorami przy fontannie na rynku. Dzieciaki z klasy jej nie lubią, ale czują przed nią respekt, bo kiedy trzeba, przeklina jak szewc i potrafi niezłe przyłożyć. Chociaż bywa dziwna, trochę się z nią przyjaźnię – po części dlatego, że nie mam tutaj nikogo innego, po części dlatego, że mi jej żal. A może po prostu wiem, że mnie potrzebuje, a ja lubię świadomość, że jestem potrzebna?

Więcej dzieci w naszej kamienicy nie ma. Właściwie to jest jeszcze niemowlak, Antoś, ale on się nie liczy, bo ma dopiero dwa miesiące. Jego rodzice niedawno wprowadzili się na najwyższe piętro i prawie wcale ich nie znam, chociaż na pierwszy rzut oka wydają się całkiem mili.

Naprzeciwko Klaudii mieszka właścicielka domu, pani Rozalia. Jest niezwykle elegancka i miła, zawsze nosi buty na wysokim obcasie i piękne torebki. Wygląda jak rówieśnica mojej mamy, ale może jest nieco starsza, bo kiedy się uśmiecha, w kącikach jej oczu pojawia się dużo promieni, które mama nazywa kurzymi



Pani Rozalia

łapkami. Ja wolę myśleć o nich jako o promieniach – znaku, że osoba, która je ma, często się śmieje. Rodzice nie lubią właścicielki budynku. Twierdzą, że w ogóle nie dba o jego wygląd: kamienica jest brudna, odrapana, klatka schodowa bardzo zniszczona, za to drzwi do mieszkania pani Rozalii błyszczą jak klejnot w stogu siana. Na pewno kosztowały małą fortunę – mają witrażyk i nieskazitelnie lśniącą powierzchnię. Ja jednak, niezależnie od tego, co myślą moi rodzice, gdyby przypadkiem udało mi się dorosnąć, chciałabym być taka jak pani Rozalia – dystygowana i bogata.

Na najwyższym piętrze z rodziną Antosia sąsiaduje pan Szemanko, brat zmarłej lokatorki, o której już wspomniałam. Straszny z niego dziwak! Nikogo do siebie nie wpuszcza, jest potwornie mrukiwy i nieprzyjemny – wygląda przy tym jak mały troll. Jest artystą malarzem i podobno kiedyś jego obrazy rozchodziły się jak świeże bułeczki, ale to było dawno,



Pan Szemanko

a sądząc po jego pomarszczonej, przypominającej zwiędły owoc twarzy – wieki temu.

I to wszystko – cały mój dom, mój wszechświat: smutny, nudny i odrapany jak nasza klatka schodowa. Znany i przewidywalny niczym schody na piętro – wytarte i wydeptane przez tysiące par butów, bo musicie wiedzieć, że kamienica przy Kaszarskiej ma ponad sto trzydzieści lat. Można by rzec: szmat czasu. A jednak kocham ten dom i moje miasto, które tkwi na mapie Polski od samego początku. Po prostu, co tu kryć, to jest moje miejsce na Ziemi, ze wszystkimi jego wadami i zaletami.



Nowi sąsiedzi

Upał, który po kilku dniach opadów opanował miasto, był porażający. Nieubłaganą falą wlewał się wszędzie, nie omijając nawet naszego, zwykle chłodnego domu i odbierając mieszkańcom zdolność logicznego myślenia.

Nienawidziłam temperatur powyżej dwudziestu pięciu stopni i tego, że wszystkie dziewczyny z mojej klasy zapewne właśnie paradują po plaży w skąpym bikini lub sukienkach na ramiączkach, podczas gdy ja zakładam zawsze obszerne bluzki z rękawkiem...

Właśnie wybierałam się pod prysznic, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Przerzuciłam przez ramię ręcznik, odgarnęłam rozpuszczone do mycia włosy i spojrzałam przez wizjer. Michał.

„Czego on tu szuka?” – pomyślałam gorączkowo, zastanawiając się, czy powinnam otworzyć.